

## WPROWADZENIE

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy doszło do pewnego uspokojenia sytuacji międzynarodowej. Kontury obrazu świata zdają się mniej niepokojące. Wyraźnie poprawia się stan bezpieczeństwa międzynarodowego, a dotyczy to w szczególności strefy euroatlantyckiej. Zasadniczo korzystnym tendencjom w sferze bezpieczeństwa towarzyszą coraz mocniejsze trendy wzrostowe w gospodarce europejskiej i światowej. Nie trzeba podkreślać, jak wielkie ma to znaczenie dla Polski, zawsze bardzo wrażliwej na zimne poddmuchy „wielkiej polityki” i mającej przed sobą wielkie zadanie rozwoju gospodarczego i postępu cywilizacyjnego. Sytuacja w naszym otoczeniu sprzyja jego realizacji. Ten stan nie powinien nas usypiać, lecz zmuszać do rozumnego wysiłku, który pozwoli najlepiej wykorzystać pomyślną koniunkturę międzynarodową.

Nie oznacza to bynajmniej, iż wszystko jest w porządku na tym „najlepszym z możliwych światów”. **Ambitny projekt całościowej reformy prawno-instytucjonalnej podstawy porządku międzynarodowego został poważnie okrojony przez państwa członkowskie.** Obecne reformowanie ONZ pomija organ kluczowy – Radę Bezpieczeństwa, a ważne innowacje instytucjonalne są rozmywane w toku negocjacji nad ich ostatecznym, konkretnym kształtem (Rada Praw Człowieka). Przeciąga się bezsensowna i okrutna wojna w Iraku. Bywają tygodnie, w których ginie w tym kraju tysiąc i więcej osób, w tym głównie ludność cywilna. Bywają i takie, gdy ginie więcej niż tysiąc osób<sup>1</sup>. Niedawny raport zachodniej renomowanej International Crisis Group wskazuje, że do głównych przyczyn oporu wobec amerykańskiej okupacji należy zachowanie wojsk USA. Chodzi przede wszystkim o „szkody powodowane przez nadmierne stosowanie siły, tortury, taktykę, która wyrządza rozległe straty wśród ludności cywilnej, oraz poleganie na sekciarskich milicjach”. Raporty uznanych organizacji pozarządowych, na przykład Amnesty International, wskazują, że sytuacja praw człowieka, powszechność, okrucieństwo i systematyczność ich naruszeń, jest znacznie gorsza niż w okresie rządów Saddama Husajna. Pełną odpowiedzialność za całość sytuacji w Iraku ponoszą Stany Zjednoczone, które nie potrafią ani uznać zasadniczych błędów, które legły u podstaw tej interwencji, ani znaleźć właściwej recepty na obecny stan rzeczy (poza „irakizacją konfliktu”, czyli przerzucaniem odpowiedzialności za utrzymanie bezpieczeństwa

---

<sup>1</sup> Znany Sztokholmski Instytut Badań nad Pokojem (SIPRI) za poważniejszy konflikt międzynarodowy uważa ten, w którym ginie więcej niż tysiąc osób rocznie.

na irackie siły wewnętrzne, które już zasłynęły okrucieństwem i bezwzględnością w rozprawianiu się z przeciwnikami okupacji)<sup>2</sup>. Ciemne chmury gromadzą się nad sąsiadującym z Irakiem Iranem. Nuklearne ambicje Teheranu nie mogą nie budzić niepokoju. Nie mniejszy niepokój budzą jednak zapowiedzi wezwania do „siłowego” rozwiązania problemu. Lekcja iracka nie wszędzie sprzyjała wykorzystaniu braku wyobraźni i odpowiedzialności<sup>3</sup>. Problem irański jest do opanowania pod warunkiem zastosowania dwutorowej strategii polegającej z jednej strony na wciągnięciu tego kraju w dialog i współpracę międzynarodową, a z drugiej strony na przyjęciu przez Zachód lokalnego wariantu strategii odstraszenia, w której skuteczność w tym przypadku trudno wątpić. Skoordynowana akcja państw Zachodu, poprzez NATO, UE i narodowe strategie, doprowadziła do znaczącego spadku zagrożenia ze strony organizacji terrorystycznych. Podobne rezultaty przyniosło uszczelnianie reżimów nieproliferacyjnych w odniesieniu do broni masowego rażenia. Bardziej trwałym następstwem aktywności terrorystów islamskich jest natomiast „polityka strachu” uprawiana zwłaszcza przez USA, która polega nie tylko na ograniczaniu wolności osobistych w tym kraju, ale przede wszystkim na wzmożonych zbrojeniach i próbach polaryzacji społeczności międzynarodowej według „linii walki” z wrogiem („długiej wojny”), co – jak to zwykle bywa w takich razach – jest również odwracaniem uwagi od braku pozytywnego programu politycznego. Coraz częściej zaczyna się dzisiaj mówić o wzmaganym przez media i polityków strachu, który sam w sobie staje się częścią sytuacji czy percepcji sytuacji bezpieczeństwa, **strachu, który nie pozostaje w żadnej proporcji do natury i skali zagrożenia** (np. zagrożenie ptasią grypą), lecz który może być instrumentalizowany dla celów polityki<sup>4</sup>. Wirus H5N1 robi karierę medialną porównywalną z ponurym rozgłosem uzyskanym w swoim czasie przez ibn Ladina.

Jedyną być może poważniejszą złą wiadomością z naszego otoczenia międzynarodowego był w ostatnim okresie upadek traktatu konstytucyjnego dla Unii Europejskiej, a konkretnie jego odrzucenie w referendum we Francji i Holandii. Wprawdzie jeszcze nie wiadomo, czy jest on definitywny, lecz **sam fakt odsłonił szereg głębszych problemów, które do tej pory były starannie omijane klasą polityczną państw członkowskich** oraz główne organy unijne. Okazało się, że koncepcja integracji europejskiej pozostaje w głębokim kryzysie, a pośród państw członkowskich nie ma zgody, w którym kierunku Unia (Europa) powinna podążać. W ciągu ostatnich kilkunastu lat w łonie Unii Europejskiej toczył się wyścig między dwoma tendencjami: pogłębianiem i poszerzaniem. Zasadniczo obie one wygrały (choć sam upadek traktatu konstytucyjnego jest porażką tej pierwszej). Takie zwycięstwo wiąże się jednak z kosztami, których przez długi czas próbowano

<sup>2</sup> International Crisis Group, In their own words: reading the iraqi insurgency, „Middle East Report” nr 50, 15 lutego 2006 r. Na dość groteskowe wygląda wobec tego zaliczenie Iraku w dorocznym raporcie Departamentu Stanu USA (marzec 2006) do grupy krajów o najgorszej sytuacji praw człowieka.

<sup>3</sup> J. Bielecki, *Amerykanie mieli rację*, „Rzeczpospolita” z 4–5 marca 2006 r. Autor pisze: „Bezwzględny opór Iranu wskazuje bowiem, że także z innymi państwami «osi zła», od Syrii przez Koreę Północną, trzeba rozprawić się siłą, a tylko Stany Zjednoczone mają środki, aby to zrobić”. Tekst jest typowym przykładem zakazanej przez prawo międzynarodowe propagandy wojennej.

<sup>4</sup> Zob. szerzej D. Rosiak, *Koniec jest blisko*, „Rz” z 25–26 lutego 2006 r.

w Europie nie dostrzegać. Zapominano, że Unia jest wspólnotą narodów – obywateli i społeczeństw – i one także mają swoje odczucia, niepokoje, oczekiwania wobec zasadniczych spraw związanych ze stanem i kierunkiem procesu integracji, ze stanem samej Europy. Chodzi o wartości, które należy chronić, o przestrzenne granice integracji, o europejski model społeczno-ekonomiczny (*European way of life*), o jej rolę międzynarodową. Pojawiły się troski i pytanie o tożsamość Europy. Problemem samym w sobie stała się jakość klasy politycznej państw europejskich. Klasy nierzadko miernej, lecz jeszcze częściej autystycznej, głuchej na opinie społeczne, lub też oportunistycznej, unikającej zajmowania się trudnymi problemami. Doszło do tego, że starano się zapobiegać próbom wsłuchiwania się w prawdziwe troski i uzasadnione niepokoje opinii publicznej w różnych krajach, określając je jako populizm, jako pozwalanie na to, aby „ulica” decydowała. **Tego rodzaju arogancja i autyzm niesie ze sobą zawsze złe następstwa społeczne**, unikanie podjęcia tych problemów przez umiarkowane partie prawicowe czy lewicowe prowadzi bowiem do wzrostu sił prawdziwie populistycznych czy skrajnych, zmierzających do demontażu demokratycznych zasad ustroju politycznego. Do tych prawdziwych problemów, których unikano, należały sprawy migracji czy granic rozszerzenia. Forsując otwartość na imigrację czy kolejne rozszerzenia, bo tego wymagała poprawność polityczna, chciano odebrać obywatelom Europy prawo decydowania o tym, kogo chcą mieć w granicach swojej wspólnoty. Objawione w ostatnim okresie, a obce prawom człowieka czy standardom demokracji oraz nierzadko wręcz wrogie postawy (terroryzm, uzbrojone bojówki) wobec kraju pobytu, reprezentowane przez miliony zamieszkujących już od dawna Europę przybyszy z innych kontynentów, stanowiły dla wielu szok, dla innych potwierdzenie obaw. Jeśli połączyć to z niekorzystnymi tendencjami demograficznymi („samobójstwem demograficznym Europy”, G. Weigel), to UE i jej narody mają się nad czym zastanawiać.

Zarządzona po odrzuceniu traktatu konstytucyjnego w dwóch państwach „przerwa na myślenie” powinna objąć sprawy daleko poważniejsze niż sam traktat. Europejski kryzys miał swój wyraz także w braku europejskiego przywództwa, co niestety nie ograniczało się do Europy. W przeszłości, ilekroć brakowało go w Europie, przywództwo zapewniała Zachodowi Ameryka. Obecna administracja USA jest do tego z wielu względów całkowicie niezdolna. Zamiast przewodzić światu w rozwiązywaniu jego problemów, jak bywało to w przeszłości, Stany Zjednoczone nieoczekiwanie stały się same problemem dla świata<sup>5</sup>. Jak słusznie za-

<sup>5</sup> Ogłoszona 16 marca br. nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA jest łagodniejszą, aktualizującą wersją hegemoniczno-imperialnej strategii wyłożonej w przełomowym dla amerykańskiej polityki dokumencie przyjętym przez administrację G.W. Busha we wrześniu 2002 r. Obecna strategia także charakteryzuje się woluntaryzmem politycznym i zideologizowanym myśleniem życzeniowym, unilateralizmem, gotowością posługiwania się siłą dla narzucenia swego stanowiska, militaryzacją polityki zagranicznej i bezpieczeństwa (a w konsekwencji także polityki wewnętrznej), wyszukiwaniem wroga, który uzasadnia polaryzację świata, wojenną retorykę, dyscyplinę we własnych szeregach, zwiększone wydatki na zbrojenia, a ostatecznie wojnę „prewencyjną”. Jak stwierdził G.W. Bush w swym wprowadzeniu do tego dokumentu: „America is at war. This is a war time national security strategy (...)”. Dokument jest zarazem całościowym programem przemian globalnego porządku międzynarodowego, zwłaszcza w sferze politycznej i gospodarczej, w sposób zgodny z wartościami i interesami Ameryki. **„Wojna w Iraku jest przykładem tego, jak lekkomyślnie podejmuje się decyzje w Waszyngtonie”**, uważa cytowany dalej E. Hobsbawm.

uważa znany brytyjski historyk Eric Hobsbawm, „**Mało jest rzeczy groźniejszych niż mocarstwa realizujące własne interesy w przekonaniu, że wyświadczają przysługę ludzkości**”<sup>6</sup>. Choć zatem ogólna sytuacja w poszczególnych krajach ulega poprawie i nie widać na horyzoncie znaczących zagrożeń dla naszego wspólnego bezpieczeństwa, wyraźne jest wrażenie poczucia braku kierunku, dryfowania wspólnoty europejskiej i atlantyckiej. Kryzys traktatowy może mieć tę dobrą stronę, że zmusi państwa europejskie do poważnego zajęcia się ignorowanymi dotąd problemami. Przewartościowaniu, a przynajmniej spowolnieniu ulegnie realizacja ambicji międzynarodowych UE.



Powyżej nakreślona sytuacja stawia niemałe wyzwania dla polityki polskiej. Tym razem nie jest to walka o zapewnienie bezpieczeństwa, choć pozostaje ona stałym i naczelnym zadaniem każdego państwa, a zatem także Polski. Tym wyzwaniem jest korzystne i pewne osadzenie naszego kraju w procesie integracji europejskiej i tworzonej w tym procesie wspólnoty narodów Europy. Wymaga to jak zwykle aktywności międzynarodowej i modernizującego nasze społeczeństwo, gospodarkę i instytucje państwowe wysiłku wewnętrznego. Europa (a zwłaszcza świat) nam nie zagraża, ale też nie stoi w miejscu. Zamiast zadowalać się otwieraniem rynków pracy w obcych krajach dla naszej wykształconej młodzieży, która tam wykonuje głównie proste prace usługowe, trzeba w Polsce tworzyć warunki, które dadzą pracę i pomyślność naszym obywatelom i naszemu krajowi. Zapobieżenie wcale nie hipotetycznej cywilizacyjnej peryferyjności Polski jest wielkim, choć dotąd niedostrzeżonym zadaniem polityki polskiej. Temu przede wszystkim powinna służyć także polityka zagraniczna, nawiązująca jeszcze do niedawna do gierkowskich snów o mocarstwowej roli (czego przejawem był jałowy udział w złej wojnie w Iraku czy stawianie na pierwszej linii walki z „globalnym terroryzmem”)<sup>7</sup>.

Sprawą o zasadniczym znaczeniu jest pozytywny stosunek do Europy, do Unii Europejskiej i głównych jej członków, a zarazem naszych partnerów zagranicznych. Musi zdumiewać u naszej klasy politycznej dominacja postawy, łagodnie mówiąc, eurosceptycznej. Wyraża się w niej niezrozumienie prostego i fundamentalnego zarazem faktu, iż w Europie i jej integracyjnej konstrukcji zaangażowane są żywotne interesy narodowe Polski, począwszy od tego, iż Unia (Wspólnota) odmieniła obraz kontynentu, przełamała jego złą historię, która była w ogromnym stopniu naszym udziałem, i jest zarazem główną szansą cywilizacyjnego awansu Polski<sup>8</sup>.

<sup>6</sup> E. Hobsbawm, *Potęga amerykańska wciąż większa i większa*, „Le Monde Diplomatique” (edycja polska), marzec 2006.

<sup>7</sup> Jest rzeczą charakterystyczną, iż z pewnej perspektywy polscy politycy z lewej i prawej strony tłumaczą udział w wojnie z Irakiem prośbą ze strony USA, której rzekomo nie wolno było odmówić (co przypomina słynną wypowiedź byłej miss Polonia, która poproszona do roli rzecznika rządu W. Pawlaka uznała, że jest to rola dla niej, i usprawiedliwiła się, mówiąc: „premierowi się nie odmawia”); a ponadto, zgodnym zdaniem, miało to służyć „poprawie pozycji międzynarodowej Polski” (przez co mylono realne interesy z medialnym prestiżem). Zob. np. J. Bielecki, *Nadminister spraw zagranicznych*, „Rz” z 27 grudnia 2005 r.

<sup>8</sup> A.D. Rotfeld, *Po co nam Unia?*, „GW” z 17 lutego 2006 r.

Jednocześnie jest ona najlepszą gwarancją naszej narodowej i kulturowej tożsamości, w szczególności w obliczu gładzysztaltującego wpływu procesów globalizacji. Strach pomyśleć, co byłoby, gdyby nie było Wspólnoty Europejskiej w momencie, kiedy odzyskiwalismy suwerenność po latach sowieckiej dominacji; jak daleka i niepewna byłaby droga do odrobienia historycznych zapóźnień rozwojowych, jak wątpliwy byłby nasz status polityczny i gospodarczy. **Postawy antyunijne (czyli jednak w istocie antyeuropejskie) w Polsce są przejawem szkodliwego dla naszych interesów narodowych politycznego analfabetyzmu.** Znajdującej się w okresie kryzysu integracyjnej konstrukcji Polska powinna zaferować swoją solidarność i wsparcie poprzez pozytywne podejście i zaufanie do unijnej wizji Europy. Ciężkim błędem byłaby obecna w polskiej mentalności politycznej pokusa włączenia się (czy też forsowania) do obecnej także w niektórych innych krajach europejskich **tendencji polegającej na renacjonalizacji polityki zagranicznej czy gospodarczej.** Dałoby to efekt w postaci samospełniającej się prognozy, a Polska stałaby się jedną z pierwszych ofiar tego zjawiska. Tę lekcję już w Europie przeralismy i wiadomo, jakie koszty ponieślimy. Przypomnijmy znane powiedzenie jednego z naszych wielkich historyków: **historia się nie powtarza; powtarzają ją ci, którzy jej nie znają.**

Zgodnie z przewidywaniami, po zmianie władzy w naszym kraju pojawiła się szansa na stopniową normalizację stosunków z Rosją; szansa, nie pewność. Ostatecznie to Moskwa zadecyduje o stanie stosunków dwustronnych z Polską – do tej pory polityka Moskwy polegała na ich chłodzeniu – lecz i my możemy niemało zrobić. Potrzebne jest podejście przemyślane i niekonfrontacyjne, a zarazem stojące na gruncie interesów narodowych i pozbawione iluzji, w tym także iluzji wyrażających się w przekonaniu o możliwości wpływu przez nasz kraj na procesy demokratyzacyjne w Rosji. Trzeba raczej uważać, aby Rosja nie miała wpływu na procesy polityczne czy gospodarcze zachodzące w Polsce. Dlatego w podejściu do niej trzeba mocno opierać się na UE i NATO. Odwrotnie, niż twierdził w przeszłości Jerzy Giedroyc, **tym większy będzie nasz wpływ na Wschodzie, im więcej będziemy znaczyć na Zachodzie,** czyli przede wszystkim w Europie. Polska musi się przy tym wpisywać w taką zachodnią strategię wobec Rosji (a nawet ją promować), która będzie polegać na strategicznym jej włączaniu w sieć współzależności świata zachodniego. Chodzi o to, aby Rosja – dostrzegając w tym swój interes narodowy – nie odczuwała pokusy gry na dwóch czy trzech frontach (z Chinami czy światem islamskim). Taki jest również nasz polski interes (pewność zaopatrzenia w surowce energetyczne, możliwości eksportowe, współuczestniczenie w polityce Zachodu wobec Rosji). W tej perspektywie należy dostrzegać użytek, jaki powinniśmy czynić z historii. Nie po to, aby o niej zapominać, lecz po to, aby nie stawała się ona elementem obciążającym naszą pozycję dzisiaj i perspektywy na jutro. Zastanawiająca jest łatwość, z jaką potrafimy powierzchownie sięgać do lekcji historii (czy raczej historycznych mitów) w sposób, który nie służy naszym dzisiejszym interesom narodowym; nie dotyczy to tylko stosunków z Rosją. Dążenie do normalizacji stosunków z Rosją nie musi upośledzać innych aspektów naszej polityki wschodniej. Kontynuacja kursu, jaki został przyjęty na Ukrainie (jest w tym także nasza zasłu-

ga), będzie zależeć teraz głównie od samych Ukraińców; zwłaszcza po przyjęciu do NATO w ciągu następnych 4–5 lat, co zdaje się sprawą przesądzoną, zmniejszeniu ulegnie zapotrzebowanie na obecność czynnika polskiego w ich polityce. Problem Białorusi może zostać rozwiązany tylko poprzez jego europeizację i z udziałem Rosji. Powinniśmy być wolni od niebezpiecznej pokusy traktowania go jako pola walki z wpływami Moskwy. Zmiany w tym kraju będą się dokonywać wolno i dają nam (Europie) okazję do stosowania całej gamy wywołujących tę ewolucję środków pośrednich.

Odrębnym zagadnieniem polskiej polityki zagranicznej są stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Z jednej strony ich rozwój w ciągu ostatnich kilkunastu lat jest jednym z naszych głównych sukcesów i atutów, z drugiej jednak ich kształtowany od początku tej dekady model nasuwa cały szereg poważnych wątpliwości, pojawiły się w nich bowiem elementy, które nie służą naszym narodowym interesom. Do tej niekorzystnej zmiany doszło w kontekście wojny w Iraku. Rząd Leszka Millera udzielił tej inwazji, poprzez udział naszych oddziałów już w wojennej fazie operacji, bezrefleksyjnego i bezwarunkowego poparcia. Uczynił to z trzech zasadniczych powodów: potrzeby sojuszniczej legitymizacji dla celów wewnętrznych z uwagi na jego postkomunistyczne korzenie, oportunistycznego połączonego z nadzieją na różne korzyści wynikające z polskiego zaangażowania w tę wojnę (typowy *bandwagoning*), myślenia życzeniowego odnoszącego się do tej konkretnej administracji (nieumiejętność odczytania jej specyficznego charakteru). Ta polityka okazała się tylko kosztowna i nie przyniosła spodziewanych korzyści<sup>9</sup>, ale wiązała się również z pewnymi zagrożeniami dla naszej suwerenności i bezpieczeństwa. Otóż jedynie militarne koszty naszego udziału w wojnie są równe około 3/4 naszego rocznego budżetu w sferze polityki zagranicznej. Czy można sobie wyobrazić inny kraj, który poświęciłby taką kwotę na udział w wojnie niemającej żadnego związku z jego interesami? Poparcie dla wojny w Iraku „zaowocowało” także anulowaniem (za namową Waszyngtonu) irackiego długu wobec Polski wartości kilkuset milionów dolarów. Notabene, zdaniem ministra kultury tego kraju, anulowanie długu jest zapłatą za zniszczenie zabytków, którego rzekomo dopuścili się w Iraku polscy żołnierze (Bagdad wielkodusznie postanowił, że nie będzie wobec nas wysuwał roszczeń z tego tytułu). W odniesieniu do naszego udziału w tej wojnie pełne zastosowanie znajduje polskie powiedzenie: „wyszedł jak Zabłocki na mydle”. Okaze się w przyszłości, czy trafne będzie w tym kontekście inne polskie porzekadło: „mądry Polak po szkodzie”<sup>10</sup>.

<sup>9</sup> W wywiadzie radiowym premier K. Marcinkiewicz stwierdził: „nasz uzysk materialny z udziału w wojnie w Iraku jest dotąd mizerny” – PR, program I, 28 listopada 2005 r. (audycja „Sygnały dnia”, godz. 7.15). Z tym większą radością media powitały perspektywę zawarcia przez polskie firmy kontraktów na odbudowę instalacji naftowych, a być może także uzyskania koncesji na wydobywanie ropy. Bez żenady pisano przy tym, iż jest to nagroda za wysłanie polskich wojsk do Iraku, za poparcie pewnej wizji świata (!), co pokazuje, że umysłowość imperialistyczna znajduje grunt nie tylko w państwach o imperialistycznej tradycji. Zob. np. „Rz” z 1 grudnia 2005 r.

<sup>10</sup> Na początku 2006 roku prezydent G.W. Bush zaprosił do Białego Domu na rozmowę o konflikcie irackim wszystkich byłych sekretarzy stanu i obrony USA. Około połowy z nich było tej wojnie przeciwnych od samego początku. Trudno sobie wyobrazić byłych polskich ministrów spraw zagranicznych czy obrony

Ukształtowany w ciągu ostatnich kilku lat model stosunków dwustronnych doprowadził także do innych, poważnych incydentów. Chodzi przede wszystkim o sprawę więzień CIA w Europie, w tym w naszym kraju. Sprawa, która wyszła na jaw jesienią 2005 r., miała wielki światowy rozgłos, a dla nas dwie niedobre konsekwencje. Po pierwsze, narażała na szwank nasze bezpieczeństwo, co przyznawali rządzący politycy, prosząc media, aby nie nadawały jej rozgłosu, bo to mogłoby wskazać terrorystom islamskim nasz kraj jako cel ewentualnych ataków. Po drugie, władze USA uparcie odmawiały przez długie tygodnie zajęcia jednoznacznego stanowiska w sprawie tych więzień (czy były, w jakich krajach, kogo tam przetrzymywano, czy stosowano tortury). Doszło do tego, że zdesperowany polski minister spraw zagranicznych uznał za konieczne zwrócić się wprost do amerykańskiej sekretarz stanu w tej sprawie. Co to oznaczało? Ni mniej, ni więcej tylko uznanie oczywistego faktu, iż Polska straciła suwerenną kontrolę nad swym terytorium (brak wiedzy o tym, co Amerykanie na nim robili). **Brak należytej reakcji w tej sprawie ze strony polskiej klasy politycznej i mediów można wytłumaczyć jedynie długoletnim treningiem polegającym na godzeniu się z brakiem suwerenności** (niepełną suwerennością) Polski. Ten fakt powinien stać się dzwonkiem alarmowym dla naszego myślenia o stosunkach zewnętrznych, zwłaszcza z USA. Należy wątpić, czy tak się istotnie stanie. Problemem jest tu między innymi to, iż z polskiej lojalności wobec USA uczyniliśmy główną cnotę, nie bacząc na to, czy obecna administracja na tę lojalność zasługuje i jaki to ma związek z naszymi interesami narodowymi (jakich spraw owa lojalność dotyczy). Tymczasem jak wiadomo skądinąd, bezwarunkowa lojalność bywa zwykłym brakiem rozsądku i kalkulacji obowiązującej w polityce (tak jest przynajmniej w USA czy Wielkiej Brytanii oraz wielu innych państwach naszego kręgu kulturowego). Lojalność należy się przede wszystkim naszym interesom, celom i zasadom. Zdroworozsądkowemu, choć przecież sojuszniczemu podejściu do stosunków z USA nie będzie służyć dominująca w Polsce od lat postawa głównych mediów i większości klasy politycznej, którą można określić jako „**proamerykanizm radiomaryjny**” (nie mylić z kręgiem Radia Maryja!). Polega ona na popieraniu polityki USA niezależnie od tego, jakie są w każdym poszczególnym przypadku jej intencje, cele czy rezultaty. W praktyce oznacza to nabożny stosunek do polityki USA, niepisany zakaz jej krytyki, w tym brak możliwości poważniejszej dyskusji na temat bilansu relacji dwustronnych. Podejmowane w tym kierunku próby są zakrzykiwane przez „ojców dyrektorów” tego radiomaryjnego proamerykanizmu oskarżeniami o antyamerykanizm, populizm (np. za domaganie się wycofania wojsk polskich z Iraku, choć chciał tego m.in. Jan Nowak-Jeziorański) lub sympatie dla polityki Moskwy czy Iranu, jak było to w przypadku zainicjowania dyskusji na temat stosunku Polski do amerykańskiego programu obrony antyrakietowej<sup>11</sup>.

otwarcie przeciwnych tej wojnie, a zwłaszcza udziałowi w niej Polski. Pokazuje to ograniczającą siłę autocenzury w polskim myśleniu o polityce zagranicznej i sprawach międzynarodowych.

<sup>11</sup> Klasyycznym przykładem tekstu napisanego w konwencji „proamerykanizmu radiomaryjnego” jest artykuł Z. Lewickiego, *Z tarczą antyrakietową będziemy bezpieczniejsi*, „GW” z 8 grudnia 2005 r. Gazeta nie zgodziła się na polemikę z tym tekstem na jej łamach, choć trzeba przyznać, że to jedynie na jej łamach pojawiają się przedruki zachodnich artykułów krytycznych wobec administracji G.W. Busha. Inne główne czasopisma lansują „jedność moralno-polityczną narodu” w tej sprawie.

Wiadomo, iż sam program, niemający przecież charakteru obronnego, lecz ofensywny (potwierdza to oficjalnie nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA z 16 marca br.), będzie destabilizował globalną sytuację bezpieczeństwa, a ewentualne przyłączenie się Polski nie będzie służyć jej interesom bezpieczeństwa, tylko bezpieczeństwu USA<sup>12</sup>. Tego rodzaju postawa wobec Ameryki nie może nam zyskiwać szacunku ze strony naszego głównego sojusznika (należy odróżniać medialne gesty od uwzględniania przezeń naszych interesów i postulatów), ale również pogarsza naszą pozycję negocjacyjną wobec Waszyngtonu, który wie, że nie musi się starać „na polskim odcinku”, na polskie poparcie bowiem może liczyć tanio i niejako z urzędu (zadbają o nie bezinteresownie sami Polacy). Niełatwe zadanie zmiany tego modelu musi polegać na jednoczesnym utrzymaniu strategicznego charakteru stosunków dwustronnych z USA i eliminacji z nich tych aspektów i postaw, które nie służą polskiemu interesom<sup>13</sup>. Wbrew niektórym opiniom, Polska jest z wielu względów wystarczająco atrakcyjnym państwem, zwłaszcza z amerykańskiej perspektywy, aby nie musiała za te stosunki płacić ceny, która ich treść mogłaby stawić pod znakiem zapytania.



Odrębnym zagadnieniem, niezmiennie aktualnym w dobie dzisiejszej, jest wewnętrzna zdolność Polski do prowadzenia takiej strategii międzynarodowej, która zapewni nam udział w głównym nurcie procesów cywilizacyjnych dynamizowanych procesami globalizacji. Pytanie, które jawi się w tym kontekście, brzmi: **czy polska klasa polityczna rozumie wyzwania, wobec których stoimy, i czy jest w stanie uczynić państwo instrumentem organizującym wysiłek narodowy w obliczu tych wyzwań**, czy potrafi sprzyjać i pobudzać aktywność indywidualną i społeczną, która postawi Polskę w gronie krajów nie tylko szybko adaptujących się do wymogów tego globalnego wyścigu, lecz także wnoszących własny, oryginalny wkład do rozwoju nie tyle świata – zachowajmy właściwą miarę – ile naszej szerszej europejskiej ojczyzny. Odpowiedź na to pytanie nie może nas zadowalać. Zmiany polityczne, do których doszło w naszym kraju jesienią 2005 roku, zaspokoiły społeczne oczekiwanie zmiany sposobu funkcjonowania państwa, odnowy życia publicznego oraz lepszego uwzględnienia w polityce gospodarczej i społecznej losu tej części społeczeństwa, która nie mogła bądź nie potrafiła się przystosować do radykalnych przeobrażeń, jakie zaszły w Polsce od 1989 roku, to znaczy nie uważa się za ich beneficjenta. Te oczekiwania były głęboko uzasadnione; pisałem o tym

<sup>12</sup> Problemy, która Polska musi mieć na uwadze w tym kontekście, to: 1) Waszyngton nie będzie respektować naszej suwerenności (nie będziemy mieli wpływu na sposób korzystania ze znajdujących się na terytorium Polski elementów MD, np. na odpalenie rakiet), 2) niska wiarygodność uzasadnienia ewentualnego użycia siły z udziałem MD (*vide* Irak), 3) ideologiczna łatwość uciekania się do użycia siły (demonstrowana wyższość moralna motywów, za którą kryje się świadomość bezkarności). To są wystarczające argumenty przeciwko przyłączeniu się Polski do tego programu. Zagrożenia nie są tu równoważone korzyściami w postaci „specjalnych” stosunków z USA. Pomijam implikacje dla naszych stosunków z innymi państwami i postrzeganie Polski przez otoczenie.

<sup>13</sup> O. Osica, *Słabi nie mają racji*, „Rz” z 13 grudnia 2005 r.



w ostatnich latach wielokrotnie w tym miejscu. Wszakże niejednoznaczny rezultat wyborów parlamentarnych oraz typowa dla polskiego życia partyjnego niemożność stworzenia solidnej podstawy politycznej dla realizacji zapowiadanych i koniecznych zmian zrodziły nieoczekiwanie perspektywy dla innego, niepożądanego scenariusza rozwoju życia politycznego w Polsce; w takim kierunku, który nie będzie sprzyjać ani poważnej refleksji nad miejscem Polski w przemianach europejskich i światowych, ani gruntownej i strategicznie zorientowanej pracy utrzymującej nas w głównym nurcie cywilizacyjnych przemian. Ten inny scenariusz to pogrążenie się naszego życia publicznego w klimacie wyrównywania mniej lub bardziej rzeczywistych krzywd doznanych w ostatnim szesnastoleciu (w tym wypaczania jego bilansu i polskich sukcesów tego okresu); klimacie pracy kolejnych komisji śledczych i permanentnej lustracji, nieustającej wojny na górze oraz balansowania na krawędzi nowych wyborów parlamentarnych; klimacie braku szacunku dla instytucji życia publicznego i sporów, których oczywistym źródłem nie jest meritum spraw, lecz wzajemna nienawiść i ambicje osobiste ziejące z parlamentarnej trybuny i studiów telewizyjnych okupowanych przez polityków tak stadnie, jak nie dzieje się to w żadnym innym kraju; klimacie prymatu interesów partykularno-partyjnych nad dobrem publicznym, taktyki nad strategią oraz nieustających podchodów i zawirowań nad długofalowym, systematycznym i celowym wysiłkiem<sup>14</sup>. Logika wewnętrznego konfliktu oraz brutalizacja języka publicznego nie pozwala zdefiniować tego, co zasadnicze ze względu na zewnętrzne wyzwania, ani się nad tym skupić; te sprawy stają się zwyczajnie niedostrzegalne lub „nieistotne”. Ów drugi scenariusz nie jest hipotetyczny. Nie oznacza odwrotu od demokracji, on czyni ją jedynie nieefektywną, on zniechęca do niej coraz szersze kręgi społeczne, on będzie oznaczać dreptanie w miejscu, czyli dryfowanie na margines głównego nurtu polityki europejskiej, którego wyrazem będzie jedynie od czasu do czasu potrząsanie szabelką wobec Europy, czyli raczej sprzeciw wobec współpracy niż szukanie w tej współpracy szansy dla polskich interesów.

Przynajmniej trzy pojęcia stały się w ostatnich miesiącach przedmiotem nieporozumień i manipulacji w takim stopniu, że zagraża to naszym interesom narodowym. Te trzy pojęcia to **liberalizm, Europa i suwerenność**. W polskim dyskursie politycznym liberalizm stał się brzydkim słowem i inwektywą, która może pogrążyć każdego, kto zostanie nią obdarzony. Tymczasem – owszem, są skrajności, przeważa gminne rozumienie pojęcia, czyli: wszystko można, trochę darwinistyczna wersja, lecz to nie jest istota liberalizmu – ideologii i praktyki wolności, odpowiedzialności i przedsiębiorczości, która legła u podstaw rozwoju i globalnej pozycji cywilizacji zachodniej w ciągu ostatnich kilku stuleci. Odrzucenie i zozydzenie liberalizmu jako idei i praktyki życia społecznego i gospodarczego może pogrążyć nas w stagnacji na dziesięciolecia. Podobnej negatywnej mitologizacji uległa u nas idea jednoczącej się Europy ucieleśnionej w utworzonej ciężkim wysiłkiem większości narodów Starego Kontynentu Unii Europejskiej. Polska klasa polityczna, jeszcze zanim nasz kraj stał się członkiem Unii, uznała, że wie lepiej, jak powinna

<sup>14</sup> S. Sierakowski, *Kto tu rządzi?*, „Rz” z 5 października 2005 r.; W. Gadomski, *Rząd jedynie tymczasowy*, „GW” z 20 grudnia 2005 r.

wyglądać konstrukcja europejska – istniejąca wyraźnie jej nie odpowiada. Przyjęła zatem w swej większości postawę konfrontacyjno-destruktywną wobec UE. Miast utożsamiać się ze swoją Unią, zaczęła ją podejrzewać i oskarżać o zamach na polską suwerenność i tożsamość; trudno zgadnąć, dlaczego „ta Unia” miałyby czyhać jedynie na polskie cnoty, żadne inne państwo członkowskie bowiem jej o takie intencje nie podejrzewa, nie mówiąc o tym, że jest to zwyczajnie niemożliwe, gdyż Unia nie jest korporacją transnarodową, lecz dobrowolnym związkiem suwerennych państw. Nie dostrzega się także, że Unia jest konstrukcją kruchą, od pewnego czasu pozostaje w impasie i jak każda instytucja społeczna nie jest dana raz na zawsze – można ją zniszczyć, a proces integracji europejskiej odwrócić z katastrofalnymi konsekwencjami dla polskiego interesu narodowego<sup>15</sup>. Przeważająca część polskiej klasy politycznej Unię Europejską oskarża, podejrzewa, krytykuje, domaga się od niej funduszy i jednostronnej solidarności, a w najlepszym przypadku ignoruje<sup>16</sup>. Dlaczego większość polskiej klasy politycznej nie lubi liberalizmu i Europy? Ponieważ nosi w sobie zupełnie anachroniczną, autarkiczną koncepcję suwerenności, którą rozumie jako możliwość robienia czegokolwiek w duchu „wolność Tomku w swoim domku”. Europa czy inne instytucje międzynarodowe nie powinny przeszkadzać w **wewnętrznym woluntaryzmie, który uzasadnia się nadrzędnością interesu narodowego**. Ignoruje się tutaj podstawowy fakt, że narody zachodnie jako pierwsze postanowiły się dzielić swoją suwerennością – w sposób stopniowy, kontrolowany, na podstawie dobrowolnych umów międzynarodowych – po to właśnie, aby lepiej chronić swój interes narodowy, aby skuteczniej rozwiązać stojące przed nimi ponadnarodowe problemy. Suwerenne są dzisiaj Białoruś i Myanmar. Szczególnie demagogicznie brzmi argument, że Polska ma wyjątkowe prawo do obstawiania przy swej suwerenności, ponieważ była jej pozbawiona w czasach komunistycznych, a Europie powinna „się stawiać”, ponieważ jest „dumnym narodem”. Odrobić komunistyczne zapóźnienia możemy tylko pod warunkiem że odrzucimy, a nie będziemy kontynuować właściwą PRL-owskiej Polsce autarkię. **Brytyjczycy, Francuzi, Hiszpanie, nie mówiąc o Węgrach czy Litwinach, nie są mniej od nas „dumnymi narodami”, i właśnie dlatego nie realizują swej dumy w opozycji do Europy, lecz tę Europę umacniając, wiedzą bowiem, że dobrze służy ona ich sile, tożsamości i poczuciu dumy z przynależności do tej wspólnoty**. Trudno oprzeć się wrażeniu, że przeważające polskie rozumienie tych pojęć może nas zaprowadzić do „dumnego i suwerennego skansenu”, do politycznego zaścianka i cywilizacyjnie peryferyjnego (wtórnego) miejsca w europejskich i światowych procesach rozwojowych.

W tle tych wypaczonych interpretacyjnie i propagandowo pojęć znajduje się stonkowo nowe zjawisko w naszej myśli politycznej, które bardzo szybko zrobiło

<sup>15</sup> J. Łukaszewski, *Unia to my, a nie oni*, „Rz” z 18–19 lutego 2006 r.

<sup>16</sup> Jeden z dwóch głównych kandydatów w wyborach prezydenckich jesienią ub.r. (ten uchodzący za bardziej europejskiego) w swym programowym wystąpieniu (4 października) nie wymienił UE jako jednego z priorytetów polskiej polityki zagranicznej, choć wyliczył ich w sumie osiem! Jednocześnie poparcie Polaków dla członkostwa w UE sytuuje się na poziomie ok. 80%. Trudno o lepszy przykład rozmiłowania się partyjnych programów politycznych z interesami i oczekiwaniami społecznymi.

zawrotną karierę – „polityka historyczna”. Niestety, i w tym przypadku rysuje się niebezpieczeństwo uwikłania historii w służącą doraźnym celom politykę; z takimi samymi złymi skutkami jak na przykład walka z liberalizmem. Zagrożenie jest tutaj podobne do tego jak w przypadku geopolityki; niektórym nie wystarczyło normalne uwzględnianie w myśleniu politycznym czynnika geograficznego. Z geografii politycznej należało uczynić fatum, czyli pseudonaukę w postaci geopolityki. **Polski wynalazek „polityki historycznej” stoi przed podobnym niebezpieczeństwem.** Otóż przedstawiciele tego nurtu uważają, że nie wystarczy normalna świadomość historyczna w myśleniu politycznym, która w Polsce jest przecież bardzo rozwinięta, że trzeba z historii uczynić oręż polityki, czyli niemal „histopolitykę” (przez analogię do geopolityki). Problem polega na tym, że w polskim pospiesznym i powierzchownym dyskursie politycznym historia jest traktowana selektywnie i mitologicznie, w sposób nadmiernie emocjonalny i zarazem zwalniający od krytycznego myślenia o nas samych i polskiej niegdysiejszej (i niestety jakże współczesnej) kulturze politycznej, kultywuje martyrologię i „wyjaśniającą” moc przeszłych, najchętniej tragicznych sytuacji dla dzisiejszego myślenia o świecie; historia postrzegana bardziej właśnie jako fatum niż trudna lekcja. W tej konwencji historia, a wraz z nią polityka historyczna, może stać się raczej dybami, w których zostanie uwięzione nasze myślenie polityczne, raczej ciasną doktryną, która ogranicza, niż rozważaniem, które czyni nas mądrzejszymi<sup>17</sup>. Byłoby niedobrze, gdyby jedyną „wartością dodaną” polityki historycznej było podtrzymywanie napięć w stosunkach z naszymi sąsiadami.

Oprócz naprawy życia publicznego, na co się nie zanosi, sprawą o strategicznym znaczeniu jest zapewnienie Polsce zdrowych podstaw trwałego wzrostu gospodarczego, który będzie sprzyjał rozwojowi cywilizacyjnemu całego kraju. Wiąże się z tym zadanie naprawy finansów publicznych państwa, reformy podatków, zmiany przepisów uwalniających dobroczynne działanie wolnego rynku, zwłaszcza w odniesieniu do zatrudnienia, dokończenia prywatyzacji (która zmniejszy zarazem stopień korupcji) czy zwiększenia skuteczności wymiaru sprawiedliwości (zarówno w odniesieniu do praw obywatelskich, jak i gospodarczych). Tylko w ten sposób możliwy będzie w Polsce trwający przez lata wzrost gospodarczy na poziomie 8–10% (nie, jak do tej pory – 4–5%), zapewniający nam szansę odrobienia historycznych zaległości i zbliżenia się do europejskiej średniej poziomu rozwoju i standardów życia. Taki wzrost jest nie tylko konieczny, on jest również możliwy. Niezbędne jest zarazem uruchomienie w Polsce zdolności innowacyjnych, które same w sobie będą sprężyną rozwoju. Temu również musi sprzyjać państwo, choć nie może w tej dziedzinie zastąpić przedsiębiorstw prywatnych. Przypomnijmy, iż nasz kraj przeznaczca na badania i rozwój (R&D) tyle, ile zajmujący na europejskiej

---

<sup>17</sup> Takie powierzchowne podejście do historii widać na przykład w przywoływaniu postaci Kościuszki i Pułaskiego oraz hasła „za wolność waszą i naszą” jako ideowych fundamentów sojuszu z USA, które uzasadniają dzisiaj wspólną wyprawę do Iraku; lub też w podejściu do członkostwa Turcji w UE, w którym często pojawia się argument, że przecież Turcja nie uznała rozbiórów Polski (a ponadto „już raz powstrzymaliśmy Turcję przed wejściem do Europy – Sobieski pod Wiedniem – i drugi raz tego nie będziemy czynić”).

liście 22. miejsce koncern BASF, a blisko cztery razy mniej niż Volkswagen! Brak wspomnianych reform i ukierunkowanych na rozwój nakładów nie tylko nie zapewni nam pożądanej stopy wzrostu, ale będzie nadal zmuszać ludzi do szukania pracy za granicą, a zwłaszcza będzie sprzyjać niekorzystnemu cywilizacyjnie drenażowi mózgow, co w odniesieniu do Polski już kiedyś się zdarzyło i wyraźnie grozi nam znowu<sup>18</sup>.

Sprawą o zupełnie fundamentalnym znaczeniu jest w tym kontekście szybkie przygotowanie się Polski do skorzystania z historycznego planu pomocy rozwojowej, jakim jest **Nowa Perspektywa Finansowa UE (2007–2013)**, której globalna wartość dla naszego kraju może przewyższyć kwoty, jakie otrzymała po II wojnie w ramach planu Marshalla cała Zachodnia Europa. **Pełne wykorzystanie tych funduszy ma dla rozwoju gospodarczego Polski znaczenie porównywalne do tego, czym w sferze bezpieczeństwa było nasze wejście do NATO.** Niezbędna jest tutaj nie tylko kompetencja, profesjonalizm, sprawność urzędów i procedur od administracji centralnej po samorządy. Potrzebna jest także ciągłość planowania i wykonywania zadań, nie mówiąc o całościowym dostosowaniu tej gigantycznej pomocy do potrzeb rozwojowych Polski, czyli jej długofalowej modernizacji cywilizacyjnej. W tej perspektywie kosztownym błędem może się okazać całkowite odejście od Narodowego Planu Rozwoju, który miał wprawdzie swoje słabości, ale stanowił dobrą podstawę do prac przygotowujących Polskę do rozumnej i skutecznej absorpcji tej bezprecedensowej skali środków pomocowych Unii Europejskiej. **Sprostanie temu zadaniu będzie dla naszych polityków wszystkich orientacji najprawdziwszym testem na szczerłość deklaracji o „obronie interesu narodowego”.**

*Roman Kuźniar, w marcu 2006 r.*

---

<sup>18</sup> L. Balcerowicz, *Nie usypiajcie rozumu* (wywiad przeprowadzili S. Popowski i D. Rosiak), „Rz” z 25–26 lutego 2006 r.; *Przyhamowany wzrost*, „Rz” z 22 listopada 2005 r.; A. Łojewska, *Polska w ogniu Europy*, „Rz” z 10–11 grudnia 2005 r.; A. Mitraszewska, *Drenaż mózgow XXI wieku*, „GW” z 19 grudnia 2005 r.